DODATEK LITERACKI I OGÓLNOKSZTAŁCĄCY „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"

Rok XXIX | Berlin, niedziela, dnia 25-go stycznia 1925 r. | Nr. 4

Uroczystość przyrzeczenia i obchód gwiazdkowy w bytomskich drużynach harcerskich.

(Korespondencja)

Bytom, 17 stycznia.

W niedzielę, dnia 4. stycznia rb. o godz. 4-tej po południu zapełniła salę szczelnie brać harcerska z Bytomia. A miał to być wielki dzień, gdyż 14 druhów i 7 druhen dopuszczono do składania przyrzeczenia harcerskiego, które dopiero czyni harcerzy i harcerki prawymi członkami wielkiego bractwa harcerskiego. Wnet na gwizd drużynowych, drużyny ustawiły się w dwu szeregach poczem nastąpiło wprowadzenie sztandaru drużyny bytomskiej. Oddawszy należytą cześć sztandarowi, odbył się raport główny przy którym stwierdzono obecnych 40 druhów i 24 druhen. Odebrawszy raport od druhów Wilczka i Krafczykównej druh. instruktor Kwietniewski przystąpił do samej uroczystości przyrzeczenia. Odśpiewano „Rotę" poczem przemówił w krótkich słowach, mówiąc o ważności przyrzeczenia dla całej ludzkości i jednostek jako bodziec do dalszej wytrwałej pracy nietylko nad sobą ale i dla innych, lecz przedewszystkiem nad sobą celem utrwalenia swych charakterów. Starym zwyczajem, jak ongiś w średniowieczu pytano się paziów i giermków, przy pasowaniu na rycerzy czy rozumieją znaczenie prawideł rycerskich jak za czasów Mickiewicza przyjmowano do koła Filomatów i Filaretów członków, pytając się czy wiedzą do czego obowiązują 15 prawideł filomackich, tak i przy tej uroczystości harcerskiej, druh instruktor przeszedł wszystkich z kolei z pytaniem czy znają prawa harcerskie i czy wiedzą do czego obowiązują. Sztandarowi przystąpili teraz do szeregu i ślubując powtarzali słowa przyrzeczenia:

„Mam szczerą wolę całe życie wiernym być Bogu i obowiązkom,
nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym(a) prawu harcerskiemu."

Uroczystość zakończono odśpiewaniem „Pod Twoją obronę" i wyprowadzeniem sztandaru.

Teraz przystąpiono do obchodu gwiazdkowego i tradycyjnym zwyczajem zaczęto się łamać opłatkiem z harcerzami i gośćmi pomiedzy, któremi zauważyliśmy harcerzy i harcerki z Wojtowej Wsi, Opola i Mikulczyc i wydawać torebki z jabłkami, piernikami, orzechami i różnemi małemi podarkami. W międzyczasie jeden z gości zwrócił się z krótkiem przemówieniem przypominając obowiązki jako tacy i zwracając się do rodziców i gości zebranych o dalsze popieranie tych drużyn bytomskich, gdyż jak widzą mają dowód, że praca w tych drużynach nie idzie na marne.

Wypełniając dalszy ciąg programu, odegrano jasełkę śpiewaną, wyprowadzoną przez druhów i druhny poczem nastąpiły deklamacje, między któremi wyszczególnić należy deklamację druha Nieboja, 14-letniego harcerza. Na zakończenie kilku starszych druhów występowało w krótkiej scenie p. tyt. „Sławny hypnotyzer". Zebrani goście serdecznemi oklaskami dziękowali za tak urozmaicony wieczór. Po wyczerpaniu programu rozpoczęła się zabawa taneczna w toku, której odbył się polonez i tańczono czysto g.-śląskie tańce jak dziada, miotlarza, młynek i trojaka.

O godz. 12-tej ostatni goście opuszczali salkę, mile żegnając harcerzy i dziękując za mile spędzone chwile.

Drużyny bytomskie w święto Trzech Króli 6. 1. rb. powtórzyli przedstawienie jasełki i zabawę przy udziale wielkiego grona gości.

Organizatorom tych uroczystości i takich zabaw harcerskich należy się uznanie gdyż dowodzi o tem, że drużyny nietylko pracują, lecz starają się idęę harcerską wśród młodzieży na Śl. Opolskim rozpowszechnić i szeregi harcerskie pomnożyć.

W tej pracy życzymy bytomiakom w Nowym Roku szczęśliwej i zbożnej pracy naszem staropolskim

„Szczęść Boże

i harcerskim

Czuwaj!

Grota Narodzenia Pańskiego.

Wiarogodnemi istotnie są twierdzenia pisarzy Kościoła św. z pierwszych wieków chrześcijaństwa które mówią że ową stajenką w której się Jezus Chrystus narodził, była grota, czyli jaskinią, w pobliżu miasteczka położona. W obszerne takie jaskinie obfitowała ziemia święta; w czasie zimna lub niepogody wpędzano tam trzody i wtedy stanowiły one istotną stajenkę. Betleem leżało na górze i było otoczone urodzajnemi pagórkami i dolinami. Było tam dużo pastuszków, strzegących trzód swych w nocy. Klimat tamtejszy jest w grudniu, kiedy to właśnie według najdawniejszych tradycji Chrystus się narodził tak łagodny, że trzody mogły być na polu we dnie i w nocy.

W takiej więc jaskini, niedaleko od Betleem, która służyła pastuszkom i bydłu za schronienie, przyszedł Jezus Chrystus na świat o północy i położony został w żłobku przez Matkę swoją Maryę — jak to tkliwie wyrażają owe prześliczne kolędy i pastorałki nasze np.:

Narodził się Jezus w stajni ubogiej,
Uniżył Majestat chociaż Pan srogi —
Będąc Synem Najwyższego,
Nie miał miejsca godniejszego, swojej osobie.

Jaskinię tę, w której się Zbawiciel narodził otaczano zawsze szczególniejszą czcią i pobożnem poszanowaniem. Nawet poganie odwiedzali to miejsce z należytym szacunkiem i mawiali:

— Oto miejsce, gdzie Bogu chrześcian podobało się urodzić!

Origenes, żyjący w drugim wieku po Chrystusie, był osobiście w Betleem i tak się wyraża w dziele swym przeciw Celsusowi:

— Pokazują w Betleem jaskinię, w której się Pan Jezus narodził a w niej żłobek, gdzie leżał w pieluszkach.

Wiadomo to powszechnie nawet i tym, którzy nie są naszej wiary, mówią oni:

W tej jaskini narodził się Jezus czczony i uwielbiany przez chrześcian.

Inny znów pisarz kościelny, Euzebiusz, który także był w Betleem, opowiada w biografii cesarza Konstantyna, że Helena święta, matka tego pierwszego chrześcijańskiego cesarza, kazała wystawić wspaniały kościół nad tą świętą grotą.

Cesarz Adryan wystawił wprawdzie z nienawiści ku chrześcianom świątynię pogańską nad miejscem urodzenia Pańskiego — ale Helena kazała ją zburzyć do szczętu, przyozdobiła pięknie jaskinię i wzniosła nad nią ów wspaniały kościół. Kościół ten upiększał cesarz Justynian, a po nim i inni wierni chrześcijanie, tak że i dzisiaj należy jeszcze do najpiękniejszych i najwspanialszych kościołów w Ziemi Świętej. Jest to rozległy i obszerny budynek, spoczywający na czterech rządach słupów z czerwonego marmuru — każdy rząd składa się z jedenastu słupów; ściany i sklepienie są złocone i pokryte pięknem kunsztownem malowaniem. Naokoło tego kościoła wybudowano różnymi czasy wiele klasztorów — dziś jeszcze wznosi się ich trzy, jeden przy drugim.

Grota Bożego narodzenia jest 40 stóp głęboką, a 10 stóp szeroką, z bardzo wąskim otworem, służącym do wejścia. Im dalej w głąb, tem bardziej zwęża się grota. By podeprzeć sklepienie, umieszczono w niej trzy porfirowe słupy, w samym środku znajduj się rodzaj framugi, przedzielonej ołtarzem, gdzie się odprawia msza święta; ołtarz ten jest oświecony 35 lampami, z których najpiękniejsza jest darem Ludwika XIII, króla Francji. Wtem to zagłębieniu miała Marya, według tradycji porodzić Syna Bożego. Miejsce to jest pokryte marmurem, który wyłożony jest jaspisem i otoczony srebrną obwódką w kształcie słońca. W koło tego znajduje się napis brzmiący w języku polskim: „Tu narodził się Jezus Chrystus z Maryi Dziewicy".

Miejscowość ta leży na południe od miasta Betleem niespełna 200 kroków do niego.

W roku bieżącym zwiedziła obok licznych innych pielgrzymek także pielgrzymka polska z Krakowa te miejsca święte, które nasz Boski Zbawiciel obecnością Swoją za życia ziemskiego uczcił. Stajenka Betleemska wywiera i dziś jeszcze wielkie wrażenia na każdego wiernego, gdy to miejsce z nabożeństwem całuje, gdzie Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami. Uczcijmy to miejsce święte przynajmniej w duchu, dziękując Zbawicielowi za Jego miłościwe Narodzenie dla zbawienia naszego.

Fijołki w Danji. Z Danji donoszą, iż przebieg zimy w r. b. jest tak łagodny, iż w całym kraju zauważono, iż drzewa wypuszczają pąki, a tu i ówdzie zakwitają fijołki. Pastwiska pokryte są stadami bydła, podobnie, jak w pierwszych dniach wiosny.

GINO DORIA.

GARBUSKI.

Ona była maszynistką w jednym z wielkich biur na via del Tritone. On był pomocnikiem buchaltera w jednej z firm na tej samej ulicy. Mieszkali po za Porta Pia, musieli być na swych stanowiskach, o tej samej godzinie. Wsiadali zawsze w jeden i ten sam tramwaj, przebiegali jednę i tę samą ulicę. Byli maleńcy i garbaci. On brunet, ona blondynka. Mieszali się niepostrzeżenie w tłumie, ponieważ umieli nosić z pewną zręcznością i słodyczą swe upośledzenie to jest nie rzucali wokół spojrzenia przestraszonego mściwego zwierzęcia, spojrzenia jakie zazwyczaj mają pasierbi natury, przeciwnie, ich oczy — jego czarne — jej niebieskie — były pełne dobroci i pobłażliwości.

Trudno powiedzieć, jak długi czas przechodzili obok siebie niezauważeni; prawdopodobnie trwało to dosyć długo, ponieważ gdy wreszcie się poznali mieli wrażenie, że się znali zawsze.

Kupowali zawsze jeden i ten sam dziennik u jednego i tego samego roznosiciela. Pewnego razu, gdy wyciągali jednocześnie ręce, aby zapłacić za nabyte pismo, ich ręce spotkały się przypadkowo. Nie uśmiechnęli się jednak do siebie wowczas. Stało się to dopiero w dwa dni potem, gdy omal ich nie najechał pędzący samochód i gdy oboje z pośpiechem zdołali się cofnąć na chodnik. Wtedy także po raz pierwszy przemówili do siebie z racji uniknięcia niebezpieczeństwa.

Potem przez cały miesiąc — wszystko to miało miejsce na wiosnę — on Stefan Gvida i ona Klorynda Tempesti — spotykali się codziennie jak dawniej, lecz nie rozmawiali ze sobą. Wreszcie w połowie maja usiedli przypadkowo w tramwaju na jednej i tej samej ławeczce i nawiązali rozmowę. Nie mówili wiele lecz Stefan zauważył, że Klorynda ma bardzo miły głos, a ona, że Stefan mówi bardzo rozsądnie.

Potem w drodze do biura rozmawiali codziennie i w końcu maja Stefan już wiedział wszystko o Kloryndzie a Klorynda o Stefanie. Oboje byli sierotami. Ona mieszkała przy ciotce, on sam. On zarabiał 900 lirów pensji poza dochodem z małego domku po rodzicach ona zarabiała 450 lirów ale ciotka, która utrzymywała mały pensjonacik nie dużo brała od niej za całe utrzymanie.

Pewnego dnia poszli do domu pieszo. Stefan opowiadał Kloryndzie wiele rzeczy mądrych i ciekawych, które ona słyszała po raz pierwszy w życiu i pokazywał jej wśród przechodniów osoby znane w mieście.

Zrodziła się wreszcie między nimi miłość. Kochali się, lecz długo nie ośmielili się wyjawiać sobie tego, jak zresztą wszyscy zakochani na świecie, aż wreszcie w połowie czerwca, w półmroku jakiegoś kina, wypowiedzili sakramentalne wyrazy.

Odtąd już każdą wolną chwilę spędzali razem. Stefan chwalił piękne włosy i oczy Kloryndy ona chwaliła jego śliczne zęby i ładne ręce. Podczas tych rozmów częstokroć myśleli sobie:

— Mamy wprawdzie oboje niewielkie garby ale co to szkodzi.

Głośno jednak nie powiedzieli sobie tego nigdy, tak jakgdyby garby te nie istniały.

W ten sposób minęło lato i jesień. Najpiękniejszy to był okres w ich życiu. Wreszcie Stefan zjawił się oficjalnie w domu Kloryndy. Poznał jej ciotkę i stałych pensjonarzy to jest dymisjonowanego prokuratora, ubogiego margrabiego, urzędnika magistratu i profesora liceum. Wszyscy ci dygnitarze interesowali się bardzo losem narzeczonych.

Najmilszą dla obojga rzeczą był powrót po pracy. Klorynda wychodziła pierwsza i czekała na Stefana, poczem, jeśli była pogoda wracali pieszo do domu. Początkowo nie ośmielali się chodzić pod rękę, obawiając się drwin uliczników, w rezultacie jednak, gdy spostrzegli, że przechodnie bynajmniej się nimi nie interesują. Klorynda pierwsza ujęła pod ramię Stefana i ku wielkiemu swemu zdumieniu doznała nadzwyczaj miłego dreszczyku. Należy przyznać, że i Stefan doznał również wielkiej emocji poczuwszy się mężczyzną i obrońcą słabszej od siebie istoty.

Wreszcie, idąc za radą ciotki i przyjaciół pensjonarzy, postanowili pobrać się w kwietniu. Zima minęła jak błyskawica. Spacery początkowo sentymentalne stały się z natury rzeczy więcej praktycznymi. Musieli się obejrzeć za piecykiem elektrycznym, to znów pomyśleć o umywalni majolikowej, to o fotelu bujającym i t. d. Codziennie robili rachunki wydatków, jak wszyscy narzeczeni, mający skromne oszczędności i zmuszeni do nabywania wyłącznie pożytecznych przedmiotów. Wyjątek stanowił tylko skromny pierścionek, który Stefan w myśl tradycji ofiarował Kloryndzie i para srebrnych spinek do mankietów, które Klorynda zarumieniona po uszy ofiarowała Stefanowi. Ponieważ mieli zamiar zamieszkać w pensjonacie ciotki, więc uniknęli narazie wydatku na kupno mebli. Lecz nawet dla uzupełnienia tego jednego pokoju ileż potrzeba było rzeczy. To firanki, to znowu kołdry i tak bez końca. Ciotka zakrzątnęła się około wyprawy, nie bez udziału przyjaciół pensjonarzy. Prokurator ofiarował cudowną maszynkę do kawy a margrabia własnoręcznie powiesił nad przyszłem małżeńskiem łożem, kupionem przez Stefana, olbrzymich rozmiarów litografję Madonny, w prześlicznych ramach.

Zdawało się, że wydano wreszcie wszystkie posiadane oszczędności, ponieważ Stefan nic nie powiedział nikomu, że ma w kieszeni jeszcze schowane 1000 lirów. Chował je na podróż poślubną. Wyobrażał sobie, jaką niespodziankę zrobi Kloryndzie, gdy po ślubie każe spakować manatki i pojadą spędzić miodowy miesiąc w Neapolu. Myśl ta sprawiała mu najwyższą rozkosz

Zemsta.

W południowej Szwajcarji, w kantonie Walis, niedaleko Martigny, a więc na lewym brzegu Rodanu, znajduje się u stóp wysokiej góry, jakich tam wznosi się nie mało, kawał spiekłej, pustej ziemi.

Ani jednego nie ujrzysz tu drzewa, ni krzaka; ani jeden szmatek murawy nie przerywa straszliwej i martwej jednostajności. Na przestrzeni trzech do czterech kilometrów nie ma tu nic zgoła prócz żwiru, gruzu kamiennego i odłamów skalnych, z łona góry się staczających.

Tak tu pusto, tak strasznie — jakoby odwieczna klątwa nad podgórzem tem zawisła . . . A jednak przeszło 100 lat temu mógł tu wędrowiec w cieniu prześlicznego lasu kasztanowego zażywać miłego chłodu.

Oj, było tu wtenczas prześlicznie!

Las panował, pnąc się nieco na pochyłości podnóża góry, nad małą, ale zamożną osadą wiejską, Roset zwaną. Było tu kilkanaście góralskich zagród, był kościółek z małą wieżą, była plebania, było życie. Pieśni górali wracały z gór pobliskich pięknem echem wraz z wołaniem dzwonu kościelnego; rozkosznie rozbrzmiewały dziatek wesołe głosy, młodzieży śmiechy — było wszystko. A bydełko jak się tu wybornie na pochyłości leśnej wypasło!

Dziś osady tej ani śladu — pogrzebana pod gruzami rozdartego łona góry, spoczywa w kamienistym grobie, pokryta całunem dzikiego, przerażającego spustoszenia. Nie odezwie się tu teraz, ani nie przeleci ptaszyna; tu tak pusto i tak głucho, — chyba że się z łoskotem stoczy jaki odłam z piersi posępnej góry, — sąsiadki.

— Cóż tę straszną sprowadziło zmianę? — zapytasz niezawodnie, czytelniku.

— Sprowadziła ją, niestety! wola ludzka, wola całej gminy.

— Czy podobna?

Rzecz się tak miała:

Pewnego dnia przybył do Rozet zimno rachujący spekulant i zapragnął uroczego lasu tutejszego.

— Aby używać piękności jego i chłodu? — zapytasz może miły czytelniku.

Boże broń! Spekulant zapragnął lasu kasztanowego, aby na nim zrobić dobry interes. Dał 30 tysięcy franków za drzewo; za piękność zieleni, kwiecia, przyjemność chłodu, świeżego powietrza — nic nie dał, choć je także wziął na zawsze.

Złoto wykopało pięknemu lasowi grób, Rozetanom zabrało szczęście, a dało im zniszczenie.

Niebawem zaczął las kasztanowy znikać.

Kto się kiedy przysłuchiwał odgłosowi siekiery, las wycinającej, temu długo tętnił w uszach głos jej głuchy, podobny do krótkich, bolesnych westchnień . . . Kto się zaś musiał przysłuchiwać siekierze, wycinającej las ręką dziada lub pradziada siany i sadzony, ten głosu tego w życiu nie zapomni, bo mu wniknął do głębi serca — nie zapomni nigdy, gdy patrzeć musiał na powywracane drzewa swego lasu, na swą dumę i pociechę, gdy patrzeć musiał, jak leżały poobnażane, odarte z zieleni, częstokroć białą świecące nagością . . .

Gdy się zaczęły głuchym jękiem odzywać siekiery w uroczym lasku kasztanowym pod Rozet, przeliczali Rozetanie swe złoto, brzękiem usiłując zagłuszyć dokuczliwy jęk z lasu.

Ptaszyny leśne, nie pojmując natarczywego natręctwa ludzi, ulatywały trwożliwie z drzewa na drzewo. Ciężko im było opuszczać rodzinne zacisza, tak im drogie! Nic nie pomogło: siekiera dopiero wtenczas zamilkła, gdy ostatni kasztan legł ścięty.

— To najpiękniejszy i największy — rzekli rozetańscy robotnicy.

— Stał na ostatnim posterunku pod górą, jakoby osadę i drzewa lasu, dzieci swoje, zasłaniał — rzekł z nich jeden.

— Kto się tu teraz zabłąka — dodał inny — ten naszej osady nie pozna; tak tu teraz goło, tak pusto biednie . . .

— A górsko takie duże, a groźne — rzecze znowu pierwszy.

— Góry nam nikt nie odkupi — odezwał się ze złośliwym uśmiechem drugi.

Wtem stoczył się kawał odłamu z wierzchołka góry. Robotnicy ledwo zdołali na bok odskoczyć.

— O, widzicie ją! — zawołali.

— To dziwna — rzekł z nich jeden — dotąd nie bywało, aby to sówsko kamieniami pluło.

— Rzeczywiście, że nie — powtórzył inny.

— Jakoby się była bała lasu — zauważył trzeci robotnik.

— Bać się nie bała — na to ten, co się to zaśmiał złośliwie — ale na zielonego sąsiada swego miała wzgląd z grzeczności.

— Może się kochali — dorzucił ktoś z rozmawiających.

Wszyscy się śmiać poczęli.

— Ani on jej, ani ona jego nie byłaby sprzedała. — czwarty dodał.

Znowu się roześmiali, ale nie śmiechem serdecznym.

* * *

W Rozet smutek, gniew, przymówki.

Może to wskutek wyrzutów sumienia, po niewczasie?

Gdzie tam. Przybył znawca i obliczył, iż las kasztanowy przynajmniej 200 tysięcy franków powinien był przynieść.

200 tysięcy! — za późno.

Ale to nie najgorsze złe. Lecz i to przyszło.

Rozet zaczęło marnieć; zaczęły tam panować posuchy niesłychane i spieki. Bardzo się rzadko teraz jaka chmura u wierzchołka góry zatrzymała, a gdy padało, to z taką gwałtownością rzucała się woda z nagiej góry, że rozrywała jej stoki, podmywała pokłady podgórza, skutkiem czego staczały się nieustannie kamienne odłamy w dolinkę.

Nie trwało długo, a pokryła góra całe polesie ogromną masą kamieni.

Następnie waliły się gruzy góry wraz z żwirem na polanki podgórne. Nie było ratunku. Z czasem, i to nie długim, posunęło się spustoszenie jeszcze dalej. Nie było też już wtenczas nieszczęsnego złota, za które sprzedano przyjaciela i dobroczyńcę swego; nawet nadziei nie było!

Rozetanie musieli, ratując życie poopuszczać swe chaty. Dziś ani śladu nie znajdziesz dawnej osady; na miejscu jej olbrzymi grób, w którym pogrzebano szczęście niebacznych prostaczków.

Przed kilkunastu laty żyło jeszcze trzech, czy czterech weteranów, ongi współwłaścicieli kasztanowego lasu a następnie robotników przy cięciu go. Siekierami torowali oni drogę — nieszczęściu swemu.

Dziwni, niebaczni ludzie!

Miasto zasypane.

Parę miesięcy temu podaliśmy sensacyjne wieści o odkryciach, poczynionych wśród ruin miasta Leptis Magna, które odkopywane jest obecnie kosztem rządu włoskiego, a które było ongi jednem z największych osiedli rzymskich w Afryce północnej.

W sprawie wykopalisk, prowadzonych tam bardzo energicznie i z dużym nakładem pieniężnym, donoszą z Rzymu, co następuje:

Nie ulega już teraz kwestji, że gdy ostatecznie zostanie usunięty z ruin Leptis Magna piasek — to oczom zdumionego świata ukaże się niewiele stosunkowo uszkodzone miasto z epoki największego rózwoju imperjum rzymskiego. Ruiny Leptis Magna są w daleko lepszym stanie, niż ruiny Pompei, i dlatego dają pełniejszy obraz życia tych ludzi, co je przed wiekam za mieszkiwali.

Pragnąc ułatwić pracę setek robotników, zajętych przy odkopywaniu miasta, rząd włoski zbudował linję kolejową z odległego o 150 kilometrów Trypolisu, dla przewozu środków żywności, wody, maszyn itd.

Wedle poczynionych obliczeń miasto Leptis Magna, będące, jak wiadomo, miejscem urodzenia cesarza Septimusa Severa, mogło liczyć około 300.000 mieszkańców, a więc należało w starożytności do miast wielkich. Miało ono 3 kilometry długości, a bezmała 2 szerokości i mieściło w sobie mnóstwo przepysznych budowli, z których dopiero pałac cesarski odkopano w zupełności z piasku.

Uczeni, kierujący odnośnemi pracami są przekonani, że przyniosą one ciekawe wielce niespodzianki pod postacią odkrycia bibljotek z nieznanemi dodąt księgami i manuskryptami, które pozwolą wypełnić niejedną lukę w historji Rzymu.

Spodziewanem jest również odkrycie wielkich skarbów w szlachetnych metalach oraz oryginalnych dzieł sztuki greckiej, które zakupywali ówcześni bogaci mieszkańcy miasta.

Niezmiernie ciekawą jest nasuwająca się z powodu odkrycia ruin Leptis Magna kwestja, co było powodem, że to miasto uległo tak smutnemu losowi?

Ponieważ niema w historji wzmianki o tem, aby zostało zdobyte kiedykolwiek przez wrogów szturmem i zniszczone — przeto szukać trzeba innych powodów jego upadku. Najwięcej prawdopodobieństwa przedstawia hipoteza, że padło ofiarą jakiejś nadzwyczajnej burzy, która przyniosła z Sahary masy piasku i zasypała nim ulice, place i ogrody miasta, tj. wogóle oazę, gdzie Leptis Magna została wzniesioną. Równocześnie zaś wybuchła, być może, jakaś zaraza — co razem wzięte skłoniło mieszkańców do ucieczki.

Ponieważ stało się to w czasach, gdy imperjum rzymskie zaczęło upadać, przeto nikt nie pospieszył z pomocą miastu, położonemu na oddalonych kresach.

Z biegiem zaś czasu tak dalece o niem za pomniano, że zaledwie tu i owdzie zachowały się pisemne wzmianki o jakiemś wspaniałem mieście rzymskiem, które wznosiło się kiedyś w dzisiejszej Trypolitanji, lecz bliższych szczegółów o niem nie miano.

Bandyta, który z nudów za kratą został pianistą. Pewien bandyta, grasujący na drogach publicznych w stanie Missouri w Ameryce, został przed kilku laty ujęty i skazany na więzienie. Pobyt za kratkami dłużył się opryszkowi okrutnie. Dla zabicia czasu zaczął uczyć się gry na fortepianie. Zdolności, jakie posiadał, zwróciły nań uwagę władz więziennych. Zainteresowali się także pianistą w więzieniu muzycy amerykanscy. Pewnego razu więzień grał do radio i zdobył sobie uznanie tysięcy słuchaczów w najodleglejszych nawet zakątkach Ameryki.

Po odsiedzeniu kary bandyta, wypuszczony na wolność, otrzymał około 5000 listów-zaproszeń do uczestniczenia w rozmaitych orkiestrach i zespołach koncertowych.

Bandyta nie wróci już chyba do dawnego „fachu". Niedługo zostanie zapewne bagatym człowiekiem.

---

i zarazem była przyczyną wielu przykrości, gdyż marząc o podróży, mylił się ciągle i paskudził książki buchalteryjne w firmie, gdzie pracował.

Podróż jednak nie doszła do skutku, gdyż Stefan, pomimo heroicznej obrony, musiał wreszcie naruszyć bilet tysiąclirowy. Kto się żenił kiedykolwiek, ten wie co to pociąga za sobą. Zostało mu wprawdzie kilkaset lirów, ale po naradzie z Kloryndą, postanowił uczcić dzień ślubu i wyprawić dla świadków oraz przyjaciół ucztę weselną. Był to skromny obiad w podmiejskiej restauracji, gdzie pojechano wprost z kościoła.

Jednym ze świadków na ślubie był sprowadzony przez prokuratora jego zastępca w urzędzie, prześliczny młodzieniec, który dzięki swej piękności i wspaniałej postawie, omal nie rzucił karjery sądowej i nie wstąpił do trupy kinematograficznej. Ten zachwycający młodzieniec podczas ceremonji stał się jeszcze więcej zachwycającym, dzięki dobroci, serdeczności, delikatności i opiece, jaką okazywał obojgu państwu młodym. Klorynda i Stefan byli tem wzruszeni do łez. Serca ich przepełniała radość wobec tak wielkich sympatji i tak pięknych uczuć. Oburzali się w myśli na sceptyków, którzy głosili, że ludzie są źli i niegodziwi. Nieprawda — krzyczały ich serca — ludzie są dobrzy, szlachetni. Wszystko świadczyło o tem: łzy cioci, to dobroć pięknego młodzieńca, mowa weselna prokuratora, ojcowski wzrok i uśmiech restauratora, wszystko świadczyło, że ludzie są dobrzy a życie piękne.

W tem przekonaniu żyli ze sobą w ciągu dwóch dni po ślubie i były to zarazem ostatnie dwa dni niezamąconego szczęścia. Spędzili je w swej małżeńskiej komnacie, przytuleni jedno do drugiego. W niedzielę wyszli po raz pierwszy na spacer do parku. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi.

— Niema na świecie szczęśliwszych ludzi od nas — rzekła Klorynda, tuląc do siebie ramię Stefana.

— Niema — odpowiedział Stefan z głębokiem przekonaniem.

Siedzieli na ławce w cienistej alei a byli tak maleńcy, że z tyłu nie było ich zupełnie widać po za poręczą ławki. Po raz pierwszy też zaczęli mówić o swych garbach.

— Jesteśmy szczęśliwi — ciągnęła dalej Klorynda, — ponieważ się kochamy i będziemy się kochali zawsze. Czy nieprawda?

— Zawsze — potwierdził Stefan głosem gorącym i pełnym przekonania wewnętrznego.

Milczeli chwilę.

— Cóż znaczy wobec tego, że nie jestem ładna.

— Nic nie znaczy a zresztą, kto ci powiedział, że nie jesteś ładna? Właśnie jesteś ładna i mnie się podobasz. — Tu Stefan wycisnął gorący pocałunek na jej ustach.

— Mówię o mojej figurze.

— Jesteś ładna, najdroższa. Masz mały defekt, taki jaki mam i ja. Mamy więc wszystko wspólne nie wyłączając miłości, — odrzekł Stefan i rozśmiał się szczerze, zadowolony z dowcipu.

Klorynda pogłaskała go delikatnie po garbie a następnie rzekła:

— Rzeczywiście, wszyscy patrzą na nas z sympatją, wszyscy nas kochają jakgdyby nie wiedzieli naszych garbów. Może istotnie nie są one tak znaczne. Może my tylko jesteśmy tak przeczuleni? — Tu zarumieniła się i szepnęła: — A nasze dziecko?

Błyskawica czułości mignęła w oczach garbuska.

Nasze dziecko? Nasze dziecko będzie śliczne. Będzie miało twoje blond włosy, twoje piękne oczy . . .

— A potem . . .

— A potem? — dokończył Stefan z wiarą — będzie proste jak trzcina.

Zamilkli i jeszcze mocniej przytulili się do siebie. W tej chwili dobiegły do nich jakieś głosy i zobaczyli jakąś parę zbliżającą się ku ławce. Stefan poznał w zbliżającym się mężczyźnie owego prześlicznego młodzieńca, świadka na ich ślubie.

— To Piotruś Pontecorvo — wykrzyknął. — Zawołam go do nas.

— Daj spokój. Czyż nie widzisz, że nie jest sam?

Młodzi małżonkowie usunęli się jeszcze więcej w cień drzewa. Głosy stawały się coraz wyraźniejsze. Zachwycający młodzieniec musiał opowiadać coś bardzo dowcipnego, bo towarzyszka jego śmiała się do rozpuku. Gdy zbliżyli się już do ławki, wśród ciszy wieczoru, gdyż i ptaki już zamilkły, do uszu siedzących na ławce dobiegły następujące słowa:

. . . Mówię ci: można było umrzeć ze śmiechu. Nie wiem doprawdy w jaki sposób zachowałem powagę. Wyobraź sobie wesele dwojga garbusów! Przedstawienie może jedyne na świecie. Ona zresztą nawet ładna . . .

— Wyobrażam sobie ich w chwili czułości małżeńskiej!

— Bah . . . jeżeli jeszcze urodzi się taki potwo-rek . . .

Przeszło pięć minut a dwoje młodych małżonków nie otworzyli jeszcze ust. Wszystko wirowało im przed oczami. Wszystko co wydawało im się dotąd piękne i dobre, powlokła jakaś odrażająca osłona.

Potem Klorynda opuściła głowę na ramię Stefana. Stefan poczuł, że łka gwałtownie. Zgnębiony, zdruzgotany szukał sposobu, żeby ją pocieszyć. I mamrotał przerywanym głosem:

— Droga . . . droga moja . . . najdroższa . . .

W końcu jednak nie wytrzymał i on wybuchnął gwałtownym płaczem.

I płakało tak długo, długo dwoje tych biednych upokorzonych, rozczarowanych garbusków i zdawało im się, że cały park śmieje się z nich.